

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 3

WĄBRZEŻNO, DNIA 18 STYCZNIA 1936 ROKU

ROK 6

KANARKI

Powiatka dla niegrzecznych dzieci.

Wielka była radość Stasia, gdy mu pewnego razu mama kupiła klatkę z dwoma ślicznymi kanarkami. — Serdecznie też Staś podziękował mamie i ucieszony powiesił klatkę w swoim pokoiku.

Jego siostrzyczka Manusia dzieliła także tę radość, ale zupełnie z innego powodu. Wiedziała ona, że Staś zajęty kanarkami, nie będzie jej przeszkadzał w naukach krzykami i głośnie rozmową i że tym sposobem będzie mogła spokojnie się uczyć.

Ach, bo Staś miał tę brzydką wadę, że się ze siostrzyczką niegrzecznie obchodził.

Powiesiwszy więc klatkę w swoim pokoiku był niezmiernie dumny, że posiada tak piękne kanarki, które skacząc wesoło, przyglądały się Stasiowi ciekawie jakby pragnęły coś.

Domyślny Staś dał im świeżą wodę, w której się natychmiast ptaszki wykapały i cichem ćwierkotaniem podziękowały za nią swemu panu.

Staś usiadł do nauki. Kanarki zaczęły mu śpiewać. Z początku śpiewały cicho później głośnie, a w końcu tak głośno, aż Stasiowi w uszach dzwoniło.

Koncert ten potęgował się do tego stopnia, że biedny Staś przerwał czytanie, bo w żaden sposób uczyć się nie mógł.

Stał więc przy klatce i zaczął im prawić nauki.

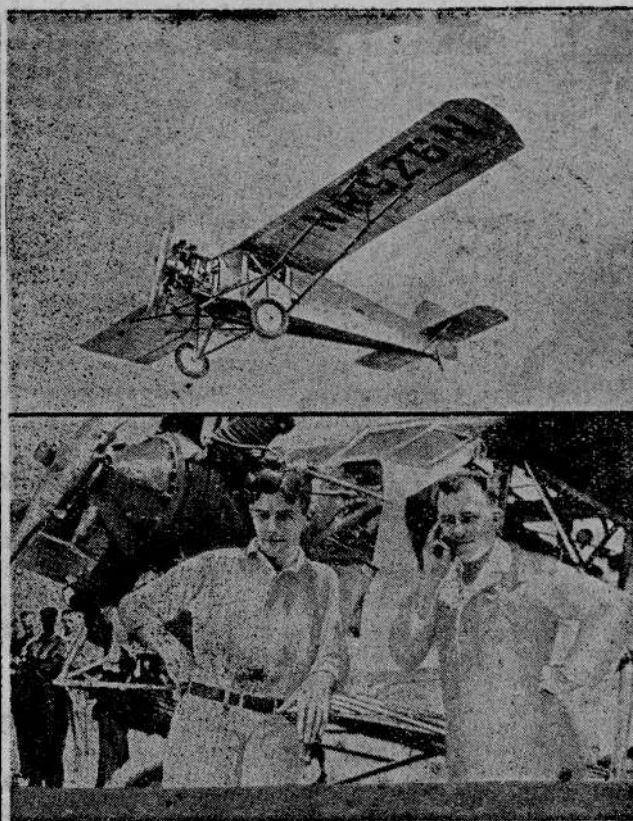
— Moje ptaszki jeżeli chcecie, abym was kochał, bądźcie grzeczne i nie tak hałaśliwe. Pamiętajcie o tem, że dobrze wychowane ptaszki, jak również i dziatki, nigdy drugiemu uczyć się nie przeszkadzają.

Tu jednak się wstrzymał, chociaż pragnął dalej jeszcze mówić, bo mu na myśl przyszła jego siostrzyczka on bardzo często przeszkadzał w naukach.

Popatrzył więc na ptaszki i nic nie mówiąc zaczął chodzić po pokoju.

Wreszcie po chwili usiadł przy stoliku, podparł się na łokciu i w milczeniu spoglądał na ptaszki.

Śpiew ustał. Ale rozpoczęło się coś nowego.



LOTNIK

Wyszły dzieci z izby,
Patrzą się do góry,
Na niebo błękitne,
Na strzępiaste chmury.

Co tam leci zdala
Z trzaskiem i warkotem
Ach, to płynie lotnik
Białym samolotem.

Hen, w słońca promieniach
Szybuje jak ptaki.
Jak cudnie być musi
Pośród jazdy takiej!

Wysoko, wysoko,
Pod chmurami płynie,
Wreszcie znikł w oddali
W błękitów głębinie.

Patrzą dzieci w górę,
Patrzą zadumane;
— Mamo! gdy dorosnę,
Lotnikiem zostanę!

Kanarek większy i silniejszy zaczął prześladować mniejszego.

Jeżeli ten mniejszy przeszedł na prawą stronę klatki, on za nim, gdy na lewo, on za nim i chociaż biedny ptaszyna nic mu nie zawinił, on jednak go dziobał zawzięcie.

Zerwał się Staś na równe nogi. — Przystąpił do klatki i rzekł rozgniewany.

— Ach ty niedobry brzydki ptaku! Dlaczego słabszego bijesz? Nie wiesz, że to jest największym wstydem dokuczać słabszemu? Cóż on ci zawinił? Co? Gdyby to uczynił jeden z moich kolegów, tobym mu dał taką naukę, żeby ją pamiętał aż do śmierci. Ale żaden chłopczyk tegoby nie uczynił, chyba tylko taki bezrozumny, jak ty ptaszek. Wstydz się...

Ale i teraz przerwał sam sobie, bo mimowoli stanęła mu na myśli jego siostrzyczka Manusia, która nieraz gorzko z przyczyny Stasia płakała.

Zawstydzony swojemi naukami, wyszedł z pokoju, poszedł do Manusi i nie tylko, że jej nie przeszkadzał,

ale owszem pomagał jej w nauczaniu lekcyj.

I odtąd codziennie tak postępuje z Manusią, która nie może nadziwić się tej zmianie w swoim bracišku.

A kanarki? — Ot, jakto kanarki, chociaż im Staś prawi moralne przemowy one się biją i krzykliwie śpiewają, że aż się w głowie przewraca. Jednakże Staś bardzo szanuje owe kanarki, bo to one wskazały mu niewłaściwe jego postępowanie z siostrzyczką.

16-letni artysta malarz

Zaciekawi Was zapewne wiadomość, że w Francji żyje bardzo młody chłopiec, który posiada wielkie zdolności do malarstwa. Nazywa się Paweł Froidereaux, a pochodzi z Metz. Tego młodego artystę nikt nie uczył malować — jest samoukiem. Obrazy jego są wystawione na widok publiczny w Paryżu w „Salonie Niezależnych” i podziwiane przez zwiedzających wystawę.

Napisała Bugumiła Rakowska.

Ż o r ż

Opowiadanie z życia młodzieży polsko - amerykańskiej

Żorż nie jest już dzieckiem, liczy lat blisko czternaście i jest nad wiek rozrosły i silny. Twarz chłopca o miękkich, słowiańskich rysach, okalają włosy jasne, koloru dojrzewającego zboża. Bystre oczy są błękitne, jak niebo w pogodny, letni ranek nad cichą polską wioską, w której Żorż ujrzał po raz pierwszy ten świat.

Żorż nie zna Polski, chociaż się w niej urodził, gdyż małym był jeszcze dzieckiem, gdy go przestraszona daleką podróżą młoda mateczka, wiozła przez spienione, głębokie wody do „raju amerykańskiego“, dokąd już przedtem podążył był ojciec, szukający za morzem lepszej doli.

Żorż jest synem polskiego wychodźcy, wzrósł i wychował się w Ameryce, wśród ludzi obcych narodowością i duchem. Mieszka wraz z rodzicami na rozległym i ludnym przedmieściu Nowego Jorku, stanowiącym samo dla siebie odrębne, wielkie miasto. Dzielnica, gdzie mieszka, nie jest nawet osiedlem polskim; żyją tu obok siebie Polacy i Ajrysze (Irlandczycy), Niemcy i Włosi, a górują licznie rdzenni Amerykanie, pyszni i chępliwi. Rodzice Żorża posiadają grosernię (skład artykułów spożywczych), dającą im dostatanie utrzymanie.

Żorż czuje się Amerykaninem. Wszystko, co chłopaka otacza w zamorskim kraju, imponuje mu ogromnie. Tyle się już nasłuchał o wielkości i bogactwie Ameryki, że zdaje się chłopakowi, iż nigdzie nie może być lepiej i piękniej.

— Poland, to kraj mały i biedny — mówi Żorż. — Na cóż dążyliby ludzie stamtąd aż tutaj, gdyby u siebie mieli dosyć pracy i chleba...

Wyraz Polska nie rozbudza niczego głębszego w ukołysanej obcemi obrazami duszy tego polsko-amerykańskiego młodzieńca. A zresztą, cóż wie Żorż o swej dalekiej ojczyźnie? Ojciec, zajęty bysnerem, rzadko o niej wspomina. W szkole słyszy jedynie język angielski i nic mu tam nie mówi o Polsce. W kościele ksiądz Irlandczyk modli się po angielsku i w tym języku wygłasza nauki.

Matka jedynie opowiada synowi o Polsce.

Jest to prosta, zapracowana kobieta i nie umie wyrazić słowami tego, co bardzo głęboko czuje w duszy. W

jej wspomnieniach odbija się Polska w obrazie rodzinnej wioski, leżącej daleko w Wielkopolsce.

W wolnych od zajęć chwilach, opowiada jedynakowi o małym kościółku, otoczonym cmentarzem, kędy spoczywają jej rodzice, a jego dziadkowie. Mówi o niskich chatkach, o łąkach, białych od stokroci, o polach zielonych, którym cicho przyśpiewuje skowronek i o srebrnych brzoźkach, chwiejących długie i gibkie gałązki na wietrze...

— W zamorskim kraju są parki ogromne i rosną w nich drzewa wspaniałe, lecz takich brzoźek cudnych, jak tam u nas w Polsce, to chyba nigdzie niema... — szepcze, tęskniąc za swą ziemią kobieta. A potem sięga po książkę do nabożeństwa, grubą, w zniszczonej oprawie, z poczerńniętymi od częstego używania kartkami i pokazuje Żorżowi.

— Patrz, synu, to moja najmilsza pamiątka z Polski...

I tuli książkę długo w dłoniach i zamysła się głęboko. Małeńkie, niby perelki lezki, toczą się szybko, jedna drugą goniąc, po rumianych licach jeszcze młodej kobiety.

O, Żorż Polski nie lubi!...

— Czemu mateńka płacze, gdy swój Poland wspomina?

Chłopakowi nie są miłe łzy w oczach ukochanej matki. Widząc je, myśli o Polsce z niechęcią.

Żorż otrząsa się jednak szybko z niemiłych wrażeń. Jest bardzo żywy i ruchliwy. W zacisznej „eli“ (zaulek) czeka na niego gromadka rówieśników i przy wesołej zabawie chłopak zapomina o Polsce i o łzach matczyńskich.

Chłopcy krzyczą i dokazują, posługując się brzydką gwara, złożoną na wpół z polskiego, na wpół z angielskiego języka. Mową taką mówią prawie wszystkie polskie dzieci w Ameryce.

Rozbrzmiewa okrzyk wojenny. Chłopcy bawią się w Indian, toczących zaciekle boje o przynależną im od wieków ziemię. Żorż jest wodzem. Głowę przystroił w opaskę papierową, poza którą sterczą sztywno poutykane pióra. Nie jest już Żorżem; zamienił się w „Czerwonego Jastrzębia“. Odważny i waleczny wódz czerwono-skórych toczy boje i zwycięża. Cóż w tem dziwnego, przecież walczy o ojczystą ziemię, którą Anglicy pragną wydrzeć jego plemieniu.

— — — — —
Żorż wraca ze szkoły, rzuca książki i z zapalem zabiera się do jedzenia.

Smaczna „paja“, (coś w rodzaju naleśnika), suto oblane sokiem, zyskuje jego uznanie. Matka przesuwa dłonią pieszczotliwie po zwichrzonej czuprynie chłopca.

— Mam dla ciebie niespodziankę — mówi — sądzę, że się ucieszysz. Jedziemy do Nowego Jorku. Przybędzie tam okręt z Polski. Pomyśl synku z Polski... Nasz polski statek wprost z kraju... Czyż to nie pięknie!...

— O, yes mama, pojedziemy. O, Nowy Jork, piękne miasto. Tyle tam światel, ruch i gwar w z dofu, nie dojrzyś ich szczytu. O, yes, mama, dzień i w nocy, a domy tak olbrzymie, że patrząc czemu nie, pojedziemy.

Chłopak cieszy się bardzo myślą o podróży do miasta-olbrzyma, lecz wiadomość o okręcie z Polski nie odbija się żywiej w jego myślach.

W słoneczne, sierpniowe popołudnie zaległy tłumy publiczności olbrzymią przystań nowojorską. Stoją głowa przy głowie, emigranci polscy wraz z rodzinami, oczekując na pierwszy statek, przybywający pod flagą polską z Gdyni. Radość maluje się uśmiechem na pogodnych ich twarzach. Najbardziej radują się dzieci. Jest ich dużo, bardzo dużo. Ustawione w szeregi, trzymają w rączkach po dwie chorągiewki. Jedna niebiesko - czerwona i białą gwiazdzista, druga biało-czerwona. Jest to dziatwa z polskich szkółek parafjalnych, ufundowanych siłami i środkami wychodźców polskich. Działwa szczęśliwa! Uczy się bowiem w języku ojczystym i bardzo wiele dowiaduje o Polsce. Szkoda tylko, że szkółek tych jest za mało, a posiadają je tylko większe osiedla polskie.

W wygodnym miejscu skąd łatwo ogarnąć wzrokiem cały obraz, stoi z matką Żorż. Z chłopakiem dzieje się coś dziwnego. Wszystko, co widzi, jest mu nieznanie i nowe, to też rozgląda się ciekawie. Te tłumy to jego rodacy, a mowa, która miłym dźwiękiem trąca o uszy chłopca, brzmi pięknie. Jest piękniejsza od gwary, którą się zwykle w rozmowie posługuje. Chłopak posiada naturę wrażliwą, to też serce bije mu silniej i goreją oczy. Ten młody „Amerykanin“ nie czuje jakoś wstydu, że jest „Polacke“. (Słowem tem określają Amerykanie każdego człowieka, którego uważają za coś niższego od siebie).

W pewnej chwili dzieje się z Żorżem coś niepojętego. Radość oczekujących zamienia się w entuzjizm, a powietrze rozbrzmiewa okrzykiem powitania i wioną chorągiewki, jak

barwne motyle, poruszane żywo rączynami dziatwy.

Żorż patrzy i nie może oderwać oczu od pięknego obrazu.

Oto na oblanych słońcem falach, niby na roztopionem, przelewającym się złocie płynie obłok, a pod rozdympującą się na wietrze flagą białą - amarantową, widnieje nazwa jego „Pułaski“.

— Widzisz synu... z Polski do nas płynie... — szeptem matka rozrzewniona. Chłopak po raz pierwszy w życiu nie dziwi się łzom matczynym, gdyż i jemu radośnie i smutno zarazem na sercu.

Pod obcym wpływem ukształtowana dusza chłopca doznała silniejszej podniety. W Żorżu obudziło się uspio- ne dotychczas polskie serce.

Dalsza część uroczystości powitania statku polskiego, wydała się Żorżowi pięknym snem. Wszystko, co widział i słyszał, napawało go radością i dumą.

Gdy przebrzmiały cudne hymny polskie, umilkły dźwięki orkiestr i ludzie powoli się rozchodzili, ocknął się Żorż, a ściskając silnie matczyną rękę, prosił, by mógł jeszcze chwil kilka popatrzeć na polski statek.

Odtąd Żorż począł dużo myśleć o Polsce, aż w końcu objawił życzenie odwiedzenia swej dalekiej Ojczyzny.

Gdy zawitała wiosna, wybrał się Żorż z wycieczką młodzieży polsko-amerykańskiej do Polski. Wiózł go na swym pokładzie ten sam piękny statek „Pułaski“, którego pojawienie się, rozbudziło polskie serce Żorża.

Od kilku tygodni bawi chłopiec wśród swoich na wsi, zwiedziwszy już przedtem niektóre ziemie Polski. Ojczystym krajem jest zachwycony, pragnąłby w nim pozostać na zawsze. Wróci jednakże do Ameryki, aby dokończyć nauki, gdyż kto chce żyć i pracować dla Polski, musi umieć wiele. „Amerykus“, jak go żartem nazywają krewniacy, uczy się chętnie po polsku i przerobił się już na Jerzego. Zdrobniła nazwa Jurek piękniejsza jest przecież od dawniejszej Żorż, która polskiemu młodzieńcowi nie przystoi.

Duch pokutujący

Tchórzem był Wacusi podszty.

Pomimo, że już ukończył dziesięć lat, że już do szkoły chodził, zanie nie pozostałby sam wieczorem w nieoświetlonym pokoju, lada zaś skrzypnięcie lub trzask przypadkowy, jaki się czasem rozległ o zmroku, wywoływał w nim dreszcz trwogi.

Daremnie starszy brat i siostra tłumaczyli mu, że te wszystkie opowiadania o duchach pokutujących, o widmach i zjawach nadprzyrodzonych, to są bajki wierutne.

Wacusi wierzył święcie, że gdy tylko mroki ogarną ziemię, kędyś z ukryć tajemnych wychodzą mary i straszdyła, wałęsając się po świecie ku przerażeniu tych ludzi, którym się ukazują.

Ba! Wacusi nie tylko wierzył, ale utrzymywał, że już sam takiego ducha widział.

— Gdzie? Kiedy?

— A latem w ogrodzie! — odpowiedział Wacusi. Tuż nad brzegiem stawu. Słońce zaszło, jednak jeszcze nie było zupełnie ciemno. I oto nagle ukazała się zjawa biała, wysoka, chwiejąca się...

— I co pleciesz, Wacusi! Przecież to nie była żadna zjawa, tylko opar wodny, unoszący się nad murawą po dniu skwarowym.

— Jaki tam opar! Wyraźnie widziałem...

— Przejrzałeś się?

— Co? Miałem się jeszcze przyglądać? Ani mi się śniło! Uciekłem! Alem widział.

I nie można było przekonać Wacusia.

— Zresztą — obstawał przy swoim — gdyby żadnych duchów na świecie nie było, to skądby się wzięły opowiadania o nich? Mówcie sobie co chcecie, ja zaś co wiem to wiem, bo widziałem!

I zobaczył Wacusi ducha po raz drugi...

I sam się wówczas przeraził i wszystkim w domu porządnego stracha napędził.

Stało się to w dniu jego imienin.

Było kilku kolegów ze szkoły. — Bawiono się doskonale. Wreszcie po pysznej kolacji goście się rozeszli i Wacusi udał się na spoczynek.

Długo jakoś nie mógł zasnąć. — Przewracał się z boku na bok. Wreszcie jednak sen mu skleił powieki.

Zwykle Wacusi spał, jak zabity, aż do rana.

Tej jednak nocy spał bardzo niespokojnie.

Obudził się.

Otworzył oczy.

I nagle wrzasnął okropnie:

— Ratujcie! Ratujcie! Duch pokutujący!

Zerwali się złóżek i brat i siostra.

Krzyk Wacusia usłyszeli rodzice w przyległym pokoju. Zbudził on również służącą w kuchni.

A Wacusi wtuliwszy głowę w poduszkę, wrzeszczał wciąż wkołko:

— Duch pokutujący! Duch pokutujący!

— Co się stało? — rozległy się zaniepokojone głosy.

— Wacusi! Wacusi! Co ci jest? — pytała przerażona matka.

— Duch... Duch...

— Jaki duch? Oprzytomnij że, chłopcze! — podniesionym głosem zawołał ojciec.

Wacusi zaś, drżąc jak liść osiki, uniósł się na kolanach i nie odwracając głowy, wskazał ręką:

— Tam... stoi...

— Gdzie? Kto?

— Duch... Taki straszny...

— Czyś ty zmysły postradał? — zniecierpliwził się ojciec.

Wyjaśniła się po chwili sprawa ducha, który tyle niepokoju wywołał. Oto na ścianie, na wieszaku wisiał biały płaszcz kąpielowy.

Nikt nie mógł powstrzymać serdecznego uśmiechu.

Tylko Wacusi się nie śmiał.

Rumieniec wstydu wystąpił mu na twarz, usta skrzywiły się do płaczu:

— Przepraszam bardzo, ale wyglądał, jak duch...

— A skądże ty wiesz, jak duch wygląda? — przerywa mu ojciec. — Jeśli jednak chcesz wiedzieć, jak nierozsądny chłopiec wygląda, to idź przejrzyj się w lustrze. A teraz spać! I proszę cię, abyś mi znów alarmu nie podniósł, bo wówczas duch zobaczy, w jaki to sposób na ziemi oleju do głowy głuptasom napęda!

HUMOREK

TRUDNE PYTANIE.

Jeden z inspektorów szkolnych zawitał na inspekcję do szkoły na prowincji. Wizytacja wypadła pomyślnie tak, że w klasie najmłodszych inspektor rozbawił się i począł dzieciaków zachęcać, aby mu zadawali pytania, gdyż na każde potrafi odpowiedzieć. I tak istotnie było. Prawie wszyscy zapytywali inspektora, a on odpowiadał bez zająkowania się. Nie pytał tylko do tej pory mały Józiek, największy wiewus klasy. Zachęcony przez inspektora zapytał:

— Gdyby Pan Inspektor siedział po szyję w bagnie, a ja zacząłbym rzucać kamieniami w Pana, czy schowałby się Pan pod wodę?

Odpowiedzi nie było.

—o—

KŁOPOT Z PISOWNIĄ.

— Jak się pisze „wtorek“? Na końcu k czy g?

— Nie jestem pewny, muszę zajrzeć do słownika.

Po chwili:

— Niestety! wszystkie wyrazy na literę „f“ przejrzałem, lecz wtorku znaleźć nie mogę.

PALEC BOŻY

Zdarzyło się to w Manas Geraes w Brazylii.

Córka pewnego właściciela wielkich plantacji kawy przyszła do kościoła na nabożeństwo ubrana nieskromnie. Podeszedł do niej ksiądz, zwrócił jej uwagę na strój nieodpowiedni i wyprosił z kościoła. — Gdy córka wróciła do domu i opowiedziała ojcu co ją spotkało, bogaty właściciel plantacji wpadł w gniew szalony, a w następną niedzielę posłał córkę do kościoła ubraną naprzekór jeszcze nieskromniej. Ksiądz powtórnie wyprosił dziewczynę z kościoła. Ojciec postanowił się zemścić na pobożnym kapłanie. Położył się do łóżka i posłał na plebanję dwóch parobków ni- by z oznajmieniem, że gospodarz czuje się bardzo słabym i prosi o przybycie z Najśw. Sakramentem i Olejami św. Dwom innym parobkom zaś polecił, by czekali na powracającego kapłana i sprawili mu „porządne łanie”. Ksiądz oczywiście natychmiast wybrał się w drogę. Sprawa była tak zarządzona, że na progu domostwa oczekiwały go żona i córka. Obie ni- by to wielce strapione, zapłakane, białe i rozpaczały z powodu niebezpiecznej choroby ojca. I kto wie, co- by było spotkało biednego kapłana w tak obłudny sposób sprowadzonego do tego „chorego”, gdyby Bóg sam w sprawę się nie wmieszał.

Gdy bowiem kapłan zbliżył się do łóżka, zauważył już tylko trupa. Wy- szedł więc z pokoju do niewiast i po- czął czynić wymówki, że tak późno zwrócili się o pomoc duchową.

Oniemiały z przerażenia. Jednym susem stanęły u łóża ojca. Gdy poję- ły, co się stało, zrozumiały palec Bo- ży niepozwalający drwić bezkarnie z siebie i w wielkiej rozpaczycy wyznały straszną prawdę.

WĘDRÓWKA PO ZIEMI KURPIOWSKIEJ.

W piątek, dnia 24 stycznia Kierownictwo Działu Dziecięcego Polskiego Radja zaprasza starszą działkę szkolną na wędrowkę po ziemi kurpiowskiej, pragnąc zaznać ją z tym ciekawym zakątkiem kraju, z jego ludnością, gwa- rą, odrębną od mowy w innych częściach Pol- ski, z obrzędami i przepięknymi piosenkami. Dzieci szkolne — zwłaszcza uczennice i uczniowie szkół powszechnych wiejskich dopominają się o „wędrowki radjowe” po Polsce i po ziemiach obcych. Dla większości jest to jedyna dostępna podróż... To też ulegając prośbom dzie- ci, Polskie Radjo przygotowuje dla działwy szkolnej cały szereg pogadanek podróżniczych, jak „Samolotem nad Afryką” itp. „Wędrowka po ziemi kurpiowskiej” nadana zostanie o go- dzinie 12,15.

PIOSENKI DLA DZIECI SPIEWAJĄ „TE 4”

Dnia 20 stycznia o godz. 18,30 nadane będą piosenki dla dzieci w wykonaniu zespołu revel- lersów kobiecych „Te 4” [1111111111111111]

JAK ŻYJĄ MALI CHIŃCZYCY?

Jeśli Was się zapytam, co jest idea- łem Chińczyków, to bezwątpienia każdy mi odpowie: ryż, gniazda ja- skółcze i tłuste szczury. Ryż? — może. Co do osławionych gniazd jaskół- czych i szczurów to są one potrawą drogą — na ten smakołyk mogą sobie tylko pozwolić milionerzy chińscy!

A teraz ja Wam zdradzę, co naj- więcej kochają Chińczycy: dzieci mah-jong (gra) i ptaki.

Nigdzie nie widać tyle dzieci, ile jest w Chinach. „Bractwo” to kręci się na ulicy, wchodzi dosłownie pod nogi. Przypuszczam, że gdyby dy- rekcyjne koleje nie wydawały dużych zniżek dla rodzin obarczonych dzieć- mi, toby pewnie kolejami nikt nie jeździł i trzebaby je zamknąć.

Mali chińczycy o dużych głowach, przeważnie ogolonych i małych złośli- wych oczkach wydają się na pierwszy rzut oka wszyscy do siebie podobni. Tak jak wszędzie, można tę dzieciar- nię podzielić na bogatych i ubogich. Pierwsi żyją w luksusowych domach: mają dużo „amahs” piastunek, które wieczorem, grają im do snu na lut- niach. Uzbrojeni strażnicy pilnują je zdala, żeby czasem bandyci nie porwali.

Inaczej jest z dziećmi biednymi. Z chwilą, gdy zostaną odwiązane z pleców matki, są pozostawiane same sobie. Szybko uczą się liczyć i o ile są sprytne, zajmują się handlem ul- icznym, nosząc swój towar w koszy- ku, zawieszonym na bambusie.

W lecie maleństwa żyją bez ubra- nia. W zimie, kiedy wychodzą na dwór na rękach lub plecach matek znikają pod dużą jedwabną, czerw- oną peleryną z dużym sztywnym koł- nierzykiem — wyglądają wtedy jak olbrzymie czerwone tulipany.

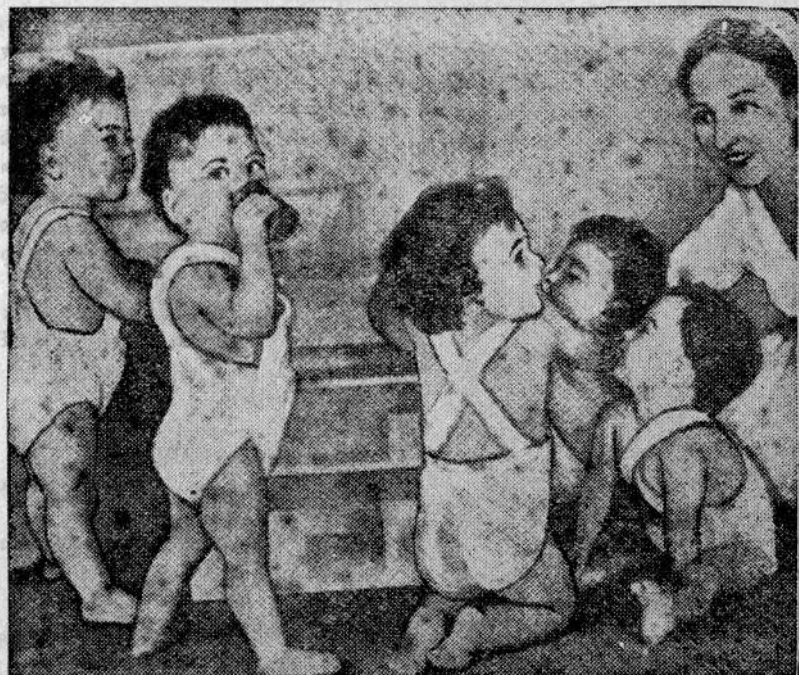
Małym Chińczykom gołą włosy, pozostawiając na czubku głowy mały kosmyk wyglądający na piórki. Jest to zapewne ostatni ślad warkocza.

Prawie wszystkie dzieci, nawet najbiedniejsze, noszą srebrne naszyj- niki, ma to ich podobno strzec od róż- nych chorób.

Mając lat 5 zaczynają chodzić do szkoły. W szkole wygląda podobnie jak u nas w Polsce. Te same ławki, te same czarne tablice, ci sami profes- orzy w okularach. — Lecz teraz bac- ność! Jeśli nauczyciel w czarnych o- kularach powie do ucznia „otwórz rę- kę” wtedy silnego klapsa daje nie trzcina, lecz zamkniętym wachlarzem.

Chińczycy lubią niezmiernie „świę- tować”. Wakacji jest dużo... i trwają długo. Tam, gdzie u nas tydzień wol- ny, to w Chinach ten tydzień przecią- ga się na miesiące.

Jedną z najmilszych zabaw chiń- skich są latawce, zrobione z naoliwio- nego drzewa w postaci smoków lub dużych motyli. Na wiosnę i jesienią całe nieba jest „zapchane” latawcami tak, że w okolicach lotnisk zabawa ta jest zabroniona, gdyż byłaby prze- szkodą dla samolotów.



Pewna kanadyjska rodzina szczyci się posiadaniem aż pię- ciorga bliźniaków, wszystkich zdro- wych.